

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

WARSZAWA, ŚRODA 9 LISTOPADA 1927 ROKU № 10

# PIŁOMYK

*Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży.*

WYDAWNICTWA ROK DWUNASTY.





## LISTY OD REDAKCJI.

DO ZYGMUNTA WOŁKOWICZA W WARSZAWIE. Więc udaje Ci się zwalczyć owo utrapione „Licho”? Czy masz ze zwalczaniem go wiele kłopotu?

DO GUCI HOROWICZÓWNY W TOMASZOWIE-MAZOWIECKIM. Jak-najchętniej odpowiadamy na pytania dzieci. Czekamy na nie w dalszym ciągu i na każde w miarę możliwości postaramy się odpowiedzieć.

DO NINY FALEWICZÓWNY W PODGÓRZU. A kiedy będziesz zdawała? Pewnie uczysz się nadal i będziesz zdawała. Czy do gimnazjum w Warszawie?

DO JURKA STOBIEŃSKIEGO W ŁONIEWIE. A co najbardziej podoba Ci się z treści „Płomyka”?

DO ZULI WITKOWSKIEJ W GRABOWCU. Tak bardzo wiele dzieci bierze udział w „Turnieju rozrywkowym”, że codziennie z poczty listonosz przynosi kilkadziesiąt listów. Niełatwo więc będzie obliczyć, kto zdobędzie książkę dla swej szkoły.

DO REDAKCJI „WIOSENKI” W KRZESLINIE. Dziękujemy Wam za numer „Wiosenki”. Jest zupełnie udany. Dobrze, że zamieszczacie tego rodzaju ilustracje, jak na str. 6-iej p. t. „Co wolisz?”.

DO DANUTY WOLIŃSKIEJ W JASTKOWIE. Późno od nas otrzymujesz odpowiedź, ale może zachęci Cię do dalszej korespondencji, tak ciekawie zaczętej.

DO HANI WISZNIEWSKIEJ W KONINIE. Wyrzekasz się tak morza, pieszsz, że „nie śpieszy” Ci się do niego jechać, ale kiedy je zobaczysz, napewno tak polubisz, jak polubiłaś góry. Jest ono na swój sposób piękne i potężne.

DO ST. GUDZINOWSKIEJ W WARSZAWIE. Z ciekawością czytaliśmy Twój list, w którym nam opisałaś wycieczkę do drukarni i Wasze zajęcia się książkami. Pewnie zainteresuje Cię to, że introligatorstwo jest sztuką starszą, niż drukarstwo. Początkowo było sztuką składania rękopisów, które były przeważnie przechowywane w futerałach, najczęściej bardzo ozdobnych. Rzymianie trzymali rękopisy, jakby w okładkach, w drewnianych, cienkich płytkach. Nazywali je kodeksem (później nazywano tak i rękopisy pergaminowe). Introligatorstwo rozwinięło się naturalnie wtedy, kiedy rozpowszechnił się druk i zjawilo się więcej książek. Czy byliście kiedy w introligatorni?

DO ZOSI ROJKÓWNY W TELECHANACH. Czy wszystkie trzy „Płomyczanki” są jednakowe? Pewnie już wszystkie trzy są w koszulkach? Koszulki już sama użyłaś?

DO WINCENTEGO WARDY W ZALESIU. Pewnie już korzystasz z lupy? Co przez nią oglądałaś? Z budynkami szkolnymi — to naprawdę bieda. Ale przecież wreszcie ludzie rozumieją, co to znaczy porządna szkoła, w której dzieci mogą się uczyć swobodnie, nie męcząc oczu z powodu ciemności, mając dużo powietrza i przestrzeni.

DO GMINY KL. V W SZKOLE POWSZ. W BRZESZCZACH. Bardzo nas ciekawi działalność gmin szkolnych i dlatego chętnie zapoznamy się ze sprawozdaniem Waszej Gminy.

DO WANDZI CZERWIŃSKIEJ W PODBEREZIU. Czy sama opiekujesz się swemi srebrzystymi królikami? Ale pewnie więcej uwagi poświęcasz kociętom? Nazywasz je miłutkami, a króliki żarłocznymi, odrazu więc widać, że więcej lubisz kocięta. „Turnieje rozrywkowe” jeszcze będą i jeszcze sporo czeka Cię pracy nad rozwiązywaniem zadań.

DO IRUSI SZANCERÓWNY W TARNOWIE. Ależ nie: „Płomyk” się nigdy nie gniewa. Czeką tylko na dłuższy liścik od Ciebie.

DO HANKI KRAMÓWNY W KONINIE. Jeśli tak lubisz historję, to napewno będzie Ci się podobało opowiadanie z „Płomyka” pod tytułem „Jesienny wieczór”. Czy tak?

DO HENI SZYŃSKIEJ W CZĘSTOCHOWIE. Uniwersytet Korespondencyjny w Warszawie pobiera opłaty. Może zechcesz się porozumieć z tym Uniwersytetem listownie, adres: Warszawa, Chmielna 33.

DO WŁ. LEŚNIAKA W WIŚNIOWEJ. Wierszyk ładny. Czy go sam ułożyłeś?



# PŁOMYK

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

## Nad Bałtykiem.



PORT RYBACKI NA HELU.

Sliczne jest morze, rozciągające się szeroko, i plaża piaszczysta, skąpana w słońcu, i szare fale, z szumem uderzające o brzeg.

Miłe są dzieci, bawiące się w piasku, te maleńkie naguski, brodzące w płytkiej wodzie i całe to zbiorowisko ludzkie, wyglądające zdala, jak mnóstwo tęczy, ogromnych kamieni, rozsianych po wybrzeżu.

Jak rozkosznie pluskać się w morzu! Woda zrazu lodowata, aż strach się zanurzyć. Potem tak w niej dobrze, że nie chce się wychodzić. Jaki tu gwar, jaka moc osób się kąpie! Jedni pływają, drudzy jeżdżą łódkami, inni żartem spychają się z promu.

Mieszkając w Gdyni, całe dni prawie spędzałam nad morzem. Jest ono przedziwne, bo codzien inne. Czułam, że z dniem każdym staje





Fot. J. Ryś.

## KASZUBI.

mi się bliższe. Olbrzymie statki wojenne tkwią na niem tak nieruchomo, że wyglądają, jak wspaniała dekoracja teatralna.

Nieraz, wygrzewając się na plaży, patrzyłam z zachwytem na dziwne kołysanie się łodzi, płynących po morzu.

— Spróbujmy takiej przejażdżki — rzekłam. Wsiedliśmy do łodzi żaglowej. Młody Kaszub, który nas wiozł, ustawiał pod wiatr żagle i dla zachowania równowagi kazał się nam co chwila przesiadać z jednej ławki na drugą — po przeciwnej stronie. Łódź tak się pochylała, że zdawała się zatapiać. To kołysała się z boku na bok, to dziób wznosiła wysoko, głęboko zanurzając tył. Fale podrzucały nią, jak piłką.

Gdynia ma wygląd wsi, mając jednak ogromną przyszłość przed sobą (tutaj buduje się port), szybko przekształca się na miasto. Ma śliczny dworzec nowoczesny i oryginalny.

Na Kamiennej Górze, na otwartem powietrzu grają codzień orkiestry. Najwięcej osób spaceruje na tak zwanym deptaku i na pomoście, wysuniętym w morze, czyli na molo.

Nad samem morzem mieszczą się kolonje letnie dla dzieci.

Dużym, pięknym statkiem jedziemy na Hel. Statek kołysze, usypia. W głowie lekko wiruje.

Tuż nad morzem całemi gromadami latają mewy. Są to duże, białe ptaki o pięknych skrzydłach. Lot mają miękki i lekki. Podróżni rzucają im kawałki bułek. Mewy chwytają je skwapliwie.

Hel jest to przystań rybacka. Mnóstwo tu sieci i łodzi rybackich. Dalej widnieją małe, schludne domki, które Kaszubi odnajmują letnikom.





Fot. J. Ryś.

## WYŚCIGI ŁODZI ŻAGLOWYCH W GDYNI.

Jeszcze dalej rozciąga się plaża z piaseczkiem białym i czystym, jak kryształ. Morze tu śliczne: szmaragdowo-seledynowe.

Cudne jest morze o zachodzie słońca, kiedy stroi się w złocisto-szafirowe blaski. Nieco później wydaje się srebrno-liljowe.

W roku ubiegłym, kiedy byłam nad Bałtykiem, przybił do Gdyni, witany uroczyście przez polskie władze, okręt turecki, „Karadenis”. Był to olbrzym długi i wysoki. Łodzie żaglowe wyglądały przy nim, jak muchy wobec słonia.

Otwarto na nim wystawę towarów tureckich. Ujrzeliśmy tam istne cuda: liczne namioty z pięknych tureckich tkanin, bogate hafty o wschodnich motywach, srebrem i złotem wyszywane, śliczne wazony i talerze porcelanowe, olbrzymie cytryny i pomarańcze, białe, bezcenne wyroby z „pianki morskiej”, inkrustowane mebelki, tureckie dywany.

Wieczorem okręt, cały jarzący się od świateł elektrycznych, wyglądał, jak bajka z tysiąca i jednej nocy.

Latem znów muszę pojechać nad Bałtyk!

*Adela Skwierczyńska.*

1) }

## Córka latarnika.

*Napisał Bohdan Pawłowicz.*

Wstawał świt. Z poza stromych, białych, kredowych skał wyspy Wight (Uajt) wysuwała się zwolna żółta tarcza słońca. Morze, przed chwilą srebrne, teraz nabierało barw coraz żywszych, pokrywając się



przy brzegach zielenią seledynu a granatem na przestrzeniach otwartych, nieskończonych. Była cisza morska. Śnieżysto - białe mewy z żafosnym piskiem wlatywały z nad białych skał w zamglone, chłodne błękity angielskiego nieba. Na gładkiej, niby lustro, cieśninie, przerzynającej się między wyspą, a samotną granitową skałą Św. Heleny, stał bezradnie dwumasztowy szkuner z obwisłymi, bezsilnymi żaglami. Na skale martwe oko smukłej, wysokiej latarni morskiej zamarło w bezruchu po pracowitej nocy. Po stromych, śliskich schodach schodziło ku morzu dwoje ludzi: młody, szerokobarczysty, zgrabny marynarz o wesołych jasno-niebieskich oczach i miłym uśmiechu na czerwonych, świeżych wargach, oraz pięćdziesięcioletnia kobieta, rzeźka jeszcze i pełna życia. Jej piwne, duże oczy z niespokojnym wyrazem obiegały horyzont, zatrzymywały się na kleisto - ołowianem morzu, na mleczno - szklстым nieboskłoniu, aby zawnisnąć na widoku jasnych skał Wight.

Widząc to, marynarz roześmiał się i zawołał:

— Czego się boicie, matko?

— Nie podoba mi się pogoda, niedobrego coś wisi w powietrzu. Ojciec twój nie opuściłby latarni na taką pogodę!

— Czegóż mamy się obawiać? W latarni zostaje Lilith, a nie godzi się, matko, już trzecią niedzielę z rzędu nie być w kościele. Pastor z Newport (Niuport) ma mieć dziś piękne kazanie, a potem w opuszczonych ruinach zamku Carisbrook (Karizbruk) ma odbyć się wspaniała zabawa. Od tak dawna, matko, cieszyłem się myślą o niej.

— Jesteś niepoprawny, Tomie!—westchnęła pani Gough (Guf).— Latarnikowi w jego twardej doli nie przystoją myśli o zabawie!

Zamilkła... Jej smutne oczy zaszklily się łzami. Ojciec Toma, a jej mąż, był innym człowiekiem: twardy i nieustępliwy, prawy i prosty, pamiętał tylko o swym obowiązku i swej ukochanej samotni na latarni. To też mówili ludzie, iż latarnia Świętej Heleny jest najlepiej utrzymaną i najlepiej świeci ze wszystkich latarni, gęsto rozsianych na skalistych wybrzeżach wyspy. Gdy razu pewnego przed dwoma laty latarnik udał się po świeże zapasy żywności do Newport, spotkał go tam okropny wypadek. Idąc brzegiem molo portowego, poślizgnął się i wpadł do wody. Podczas upadku musiał stary latarnik uderzyć się widocznie głową o kamienie, gdyż nieprzytomnego, bezwładnego wciągnęła głębina. Naprózno najlepsi nurkowie portowi nurkowali głęboko, naprózno zarzucono sieć z ołowianemi kulami — ciała nie odnaleziono już nigdy.

Młody Tom objął latarnię po ojcu...

Matka i syn wsiedli do łodzi. Tom chwycił za wiosła. Łódka wysuwała się z kamiennej przystani i wartkim biegiem rozpruwać zaczęła spokojną wodę cieśniny.

\*

\*

\*

Mała, dwunastoletnia Lilith, zostawiona na skale, z powagą zrobiła przegląd latarni. Obeszła obie izby na dole, zaglądając w każdy kąt i ustawiając sprzęty na „właściwe” miejsca, wzięła w objęcia najukochańszą swoją lalkę z gałganów, o niezgrabnej, podłużnej, niczem jajo,



głowie, mozolnie wystruganej z drzewa przez Toma, i razem z ulubienicą powędrowała po krętych schodach żelaznych na górę. Tam chuchnęła pieczołowicie na ruchome lustro, aby zobaczyć, jak wilgoć szybko znika, wytarła chusteczką „straszenie” zakurzony wierzch reflektorów elektrycznych i sprawdziła, z miną zawodowego elektrotechnika, połączenie z kablem przewodu, łączącego po dnie cieśniny latarnię Św. Heleny z elektrownią w Newport.

Lilith nie po raz pierwszy i dziesiąty była na górze. Ojciec zabierał ją prawie codziennie do reflektorów i objaśniał obchodzenie się z mechanizmem. Teraz Lilith, dumna ze swej samodzielności, opuściła rączkę kontaktu na tablicy rozdzielczej i reflektory zabłyśły, idąc w zawody ze słońcem, a lustra poczęły obiegać je naokoło. Dziewczynka czempredzej jednak wyłączyła prąd.

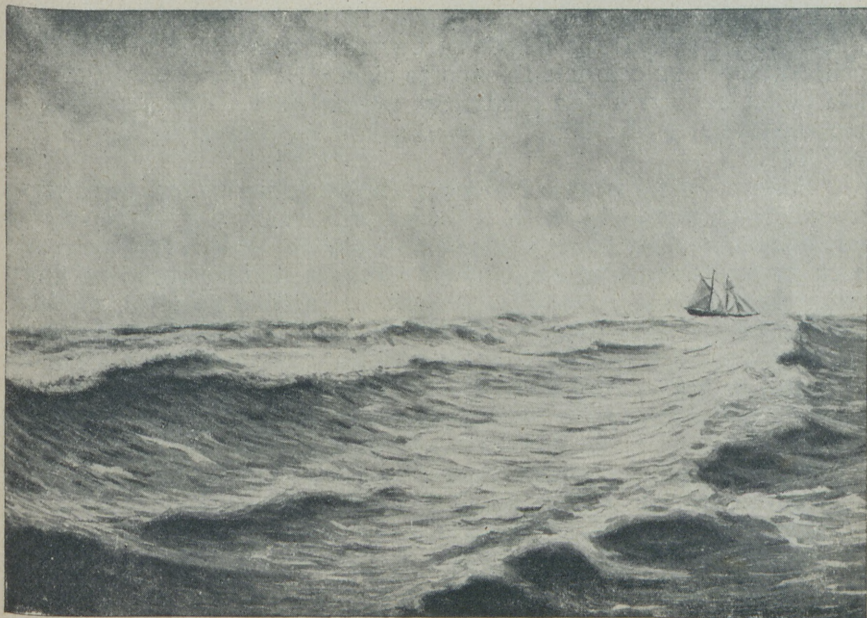
— Teraz jeszcze stójcie spokojnie! — zawołała, śmiejąc się do reflektorów, a zwracając się do lalki, oświadczyła:

— Ty, moja kochana Rokoka, i ja jesteśmy obie księżniczkami na niedostępnej, szklanej górze Świętej Heleny, więc uważaj, abyś umiała być grzeczną i uprzejmą, bo, gdy przyjedzie królewicz, ty pierwsza będziesz go przyjmować!

— Mrrr, mrrr! — rozległo się radosne mruczenie i czarny kot począł się łaskawie ocierać o nogi Lilith.

— Widzisz, Rokoka, — ucieszyła się dziewczynka — królewicz Mrumruś zawitał do naszego zamku!

*Dalszy ciąg nastąpi.*



MORZE.

Mal. W. Nałęcz.



## Poławianie pereł prawdziwych i fabrykacja sztucznych.

Podziwiamy nieraz wspaniały blask i kształt prawdziwych pereł, które zdawna stanowiły najpiękniejszą i najcenniejszą ozdobę u wszelkich narodów, czy to w postaci pięknie dobranych sznurów, czy naszyjników, czy też oprawionych w złoto zausznik, przepasek, brosz i t. d. — rzadko jednak zastanawiamy się nad pochodzeniem tych ślicznych klejnotów, które, cenione narówni z szlachetnymi kamieniami, nie pochodzą jednak z królestwa minerałów. Nie krystalizują też one i nie narastają swobodnie na macierzystem podłożu, jak te ostatnie, ale, uwięzione w ciele perłopława, stanowią jego chorobę. Kosztem więc bólu biednego mięczaka powstają te cudne ozdoby.

Istnieje wiele odmian mięczaków, które wskutek podrażnienia ich płaszczka ciałem obcym wytwarzają białe lub kolorowe pereły, jednakże na światowych rynkach handlowych mają jedynie wartość pereły, wytworzone przez *perłopława prawdziwego*, żyjącego gromadnie w ciepłych wodach morskich, w t. zw. ławicach perłowych.

Perłopław jest zwierzątkiem dość dużym. Zamknięty w dwóch, przylegających do siebie muszlach, zewnątrz grubych i szorstkich, wewnątrz powleczonych cudnie połyskującą barwą tęczową warstwą perłowej masy — ma kształt okrągławy, a wielkość w przekroju od 10 — 22 cm. Miękkie, bezgłowe jego ciało jest okryte płaszczem, t. j. mięsistym fałdem, przyrośniętym częściowo do skorup. Płaszcz ten, jak zwykle u mięczaków, posiada właśnie zdolność wytwarzania tych skorup wapienistych, służących ku ochronie i podporze ciała. Na stronie brzusznej posiada perłopław wyrostek z gruczołem, wydzielającym delikatne, jedwabiste włókienka, t. zw. bisior, zapomocą którego przyczepia się do dna morskiego.

Pereły powstają w ciele perłopława wskutek niezmiernie ciekawego, skomplikowanego zjawiska. W jelitach ryby, zwanej *rają* lub *płaszczką*, żyje robak tasiemiec, który jajka swe składa do wody. Tam powstaje z nich twór podługowaty, zaopatrzony rzęskami, bardzo ruchliwy, który wciska się pod płaszcz perłopława, drażąc jego ciało do głębi. Broniąc się przed bólem, wytwarza perłopław w miejscu podrażnienia ciecz wapienną tego samego pochodzenia, co perłowa masa, i otacza nią dookoła pasorzyta; w ten sposób powstaje po kilku latach perła. Zdarza się jednak, iż pewien gatunek ryb z rodziny rogoskórnych (*balistes*) pożre w międzyczasie mięczaka wraz z świeżą otoczką perłową, wówczas pasorzyt, uwolniony kwasami żołądkowymi z swego więzienia, podlega dalszemu przeobrażeniu w ciele tej ryby, by wreszcie, pożarty wraz z nią z kolei przez raję, rozwinąć się w niej znów w tasiemca.

Oto cały łańcuch, tworzący w jednym ze swych ogniw ten drogienny klejnot, zwany perłą.

Niekiedy bodźcem perłotwórczym może być również ziarno piasku. Najdroższych i najwspanialszych pereł dostarczają liczne ławice,

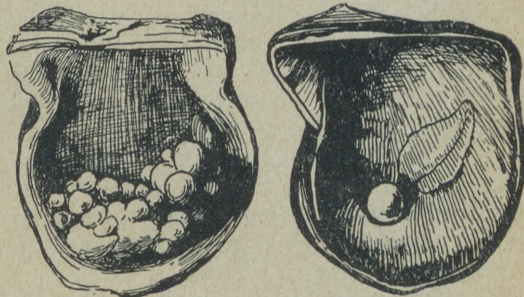


rozrzucone po zatoce Manaar, między Indjami Przedgangesowemi a Ceylonem, jakkolwiek i zatoka Perska słynie z obfitości perłopławów, a także zatoka Kalifornijska i wschodnie wybrzeża Australji.

Spójrzmy na gorączkowy ruch na piaszczystych i spalonych słońcem wybrzeżach Manaar w okresie połowu. Wybrzeża te, ciche i ogromnie słabo zaludnione, ożywiają się różnobarwnym tłumem nurków, zdających tu z całego świata na dany znak rządu angielskiego co dwa lub trzy lata. Obok tych ludzi, śpieszących tu po majątek, lichy zarobek lub śmierć w nurtach oceanu, a reprezentujących prawie wszystkie rasy ludzkie, ciągną całe zastępy bogatych kupców i drobnych handlarzy, przekupniów ulicznych, tancerek, grajków, zaklinaczy wężów i całej tej barwnej i ruchliwej czeredy rozmaitych czarodziei, stanowiących podstawę bujnego życia wschodu. W miejscu, gdzie niedawno gwarzyło tylko morze błękitnemu niebu i oblewało opalową pianą ciche piaski — powstaje po paru dniach całe miasto namiotów, zaludnione kilkudziesięciotysięcznym tłumem, gorączkowo oczekującym na wynik połowu.

A połów odbywa się niedaleko wybrzeża, na 20 do 25 m. pod powierzchnią morza, głębiej bowiem nie wytrzyma człowiek ciśnienia wody.

Podczas odpływu ciszą nocą przerywa przeciągły sygnał, który z reguły ma miejsce przed wschodem słońca, gdyż wtedy wieją pomyślnie wiatry od wybrzeża ku morzu. Setki łodzi żaglowych wyrusza równocześnie na fale. Każda z nich mieści do 20 nurków, załogę i strażnika rządowego.



MUSZLE PERŁOPŁAWA.

W miejscach, oznaczonych drewnianymi pływakami, wskazującymi ławice perłowe, łodzie zatrzymują się a nurkowie skaczą z pokładu i znikają w szmaragdowych otchłaniach. Całkiem nago, z zatkanym nosem, przywiązany na linie do łodzi, dzierży w ręce każdy nurek spory worek sznurkowy, do którego zbiera przyczepione do dna morskiego perłopławy. Po minucie lub dwóch wypływa na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza i po chwili znów się zanurza, czyniąc to 50—60 razy w ciągu dnia.

Ciężka to i niebezpieczna praca i pomimo tego, że w takim połowie biorą udział tylko doskonali pływacy, zdarzają się między nimi nieraz wypadki nagłych zasłabnięć, porażeń, głuchoty lub ataków sercowych. Często podczas przebywania pod wodą, już po 40—50 sekundach rzuca się im krew nosem i ustami; w każdej też wyprawie biorą udział lekarze, niosący pomoc w takich wypadkach.

Także ze strony rekinów grozi nieraz nurkom poważne niebezpie-



czeństwo i nie wszyscy uczestnicy wyprawy lądują po skończonym połowie.

Około południa, gdy żar słoneczny poczyna już zbytnio dokuczać, a wiatr dmie w przeciwnym, niż rano, kierunku, rozlega się znów donośny sygnał, wzywający do powszechnego powrotu. Łodzie, gnane pomyślnym wiatrem, przybijają szybko do brzegu, gdzie każdy nurek oddaje  $\frac{2}{3}$  swego połowu rządowi, resztę sprzedaje lub zatrzymuje sobie, a wszystko naoslep, bez sprawdzenia, czy w muszlach perłopławów są perły, czy też nie.

Los rozstrzyga. Los, który czasami obdarzy majątkiem wyczerpanego nużącą pracą nurka, czasami ryzykującego mniej, bo tylko pewien kapitał handlarza, a czasami wzbogaci skarbiec rządu angielskiego. Ta niepewna gra podnieca wszystkich uczestników połowu i nadaje specjalny charakter całemu, krótko — bo tylko 6 tygodni trwającemu sezonowemu miastu.

Skorupy perłopławów, wydobyte z morza, są silnie zwarte i dopiero po paru dniach, pod wpływem promieni słonecznych, małże giną, a muszle otwierają się, wydając przykrą woń gnijącego mięsa. W specjalnych płótniach pracują robotnicy pod ścisłym nadzorem, przepłukując rozkładające się mięczaki, zdradzające teraz dopiero tajemnicę swych płaszczy. Tu sortuje się uwolnione perły według wielkości i koloru oraz ładuje się w paki przeznaczone na wywóz muszle.

Najwięcej pereł zapotrzebowują Indje, później Persja i azjatycka Turcja, a następnie Egipt i wielkie miasta Europy. Najrzadsze i najbardziej cenione są perły czarne, następnie białe, poszukiwane w Europie, różowe i żółte, które głównie w Indjach cieszą się wielkim zbytem, wreszcie niebieskie i zielone.

Kształt ich jest rozmaity, przeważnie okrągły, rzadziej gruszkowaty, a naszyjnik, dobrany z pereł równej wielkości i blasku, jest bardzo rzadkim i cennym klejnotem.

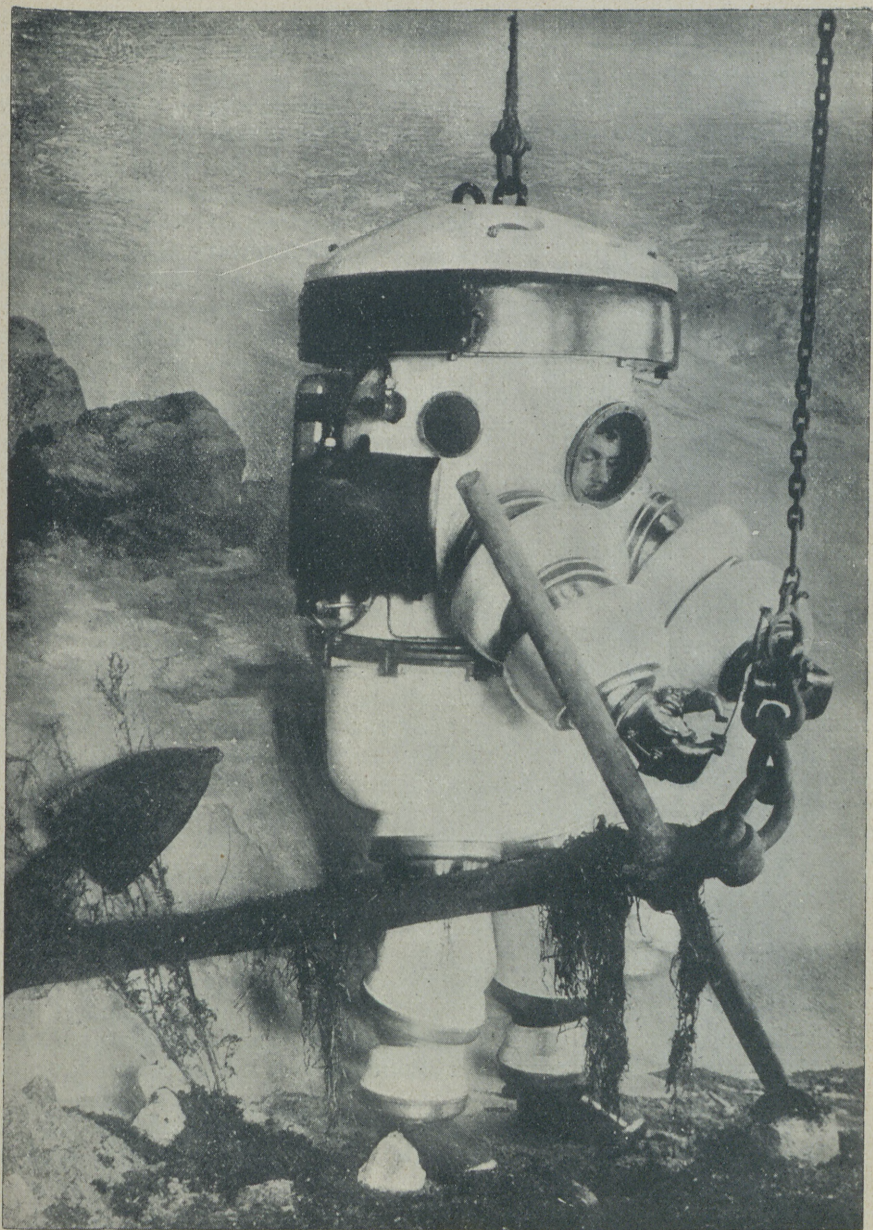
Na wybrzeżach australijskich połów wygląda trochę inaczej, gdyż tamtejsi nurkowie używają przeważnie przyrządów nurkowych, t. zw. skafandrów, t. j. ubrań kauczukowych wraz z hełmem metalowym, zaopatrzonym w szkła z przodu i z boków, rurami, doprowadzającymi powietrze i telefonem. Tak ubrany nurek może kilka do kilkunastu godzin pozostawać pod wodą, sygnalizując tylko na okręt w razie niebezpieczeństwa lub, gdy chce wysłać wypełniony muszlami worek, albo posunąć się dalej.

I na tych wybrzeżach poławiane są niekiedy rzadkiej piękności i wielkości perły, a w r. 1883 znaleziono w jednej z muszel sławny krzyż, składający się z 9 cudnych pereł, wielkości fasoli, zrosniętych z sobą w kształt krzyża.

Stosunkowo jednak na ogólną ilość wyłowionych perłopławów, mała liczba, bo zaledwie 3% zawiera perły w liczbie od 1—40 sztuk.

Próbowano też już oddawna sztucznie preparatami zastępować prawdziwe perły, a francuskie wyroby fabryczne, składające się z kuleczek z kości słoniowej, powleczonych masą perłową, łudząco przypominają wytwory mięczaków. Zawsze jednak dobry znawca zaraz je odróż-





NUREK W NOWOCZESNYM SKAFANDRZE.



ni i nie mogą one w handlu współzawodniczyć z naturalnymi perłami. Sprytnym Japończykom udało się jednakże na drodze sztucznej osiągnąć hodowlę prawdziwych perł. W specjalnych basenach hodują oni perłopławy, a po 3 latach nacinają im płaszcz i wpuszczają w ranę maleńkie kuleczki, wytoczone z perłowej masy, które są jądrem tych perł. Ranka wkrótce się goi, a perłopław, drażniony obcem ciałem, wydziela substancję wapienną, gromadzącą się dokoła kuleczki i narastającą stopniowo. Po 2 lub 3 latach hodowcy opróżniają baseny i wydobywają z perłopławów wspaniałe perły, mogące śmiało współzawodniczyć z wytworzonymi na naturalnej drodze w głębiach oceanu. Odróżnienie ich z rzeczą wprost niemożliwą bez zniszczenia perł. Dopiero po przekręceniu widać różnicę w jądrze perły, ale i tego starają się teraz uniknąć hodowcy japońscy, wpuszczając do perłopława zamiast wytoczonych z perłowej masy kuleczek, prawdziwe małe perelki.

*Janina Rybczyńska.*

## W jesienny wieczór.

*Napisał K. Konarski.*

*Dokończenie.*

Zwiesiły się głowy żołnierskie. Hej, mocny Boże! Ileż wspomnień rozwinęło się nagle, jak cudowna tkanina, przed prostymi żołnierskimi oczyma! Ilu ludzi, przyjaciół serdecznych, ile zdarzeń przesunęło się przed nimi, a wszystko zbłękitniałe jakieś, przesłonięte lekką pajęczyną mgły, jak przesłania się błękitną mgłą stary, siwy las daleko, daleko na krańcu widnokregu. Dola i niedola... Ile lat, ile lat! Rozpamiętują rycerze swe młode lata, swe cudowne, młode dni. Zwiesił swą siwą głowę i Pan Zagłoba, nie widzi nikogo, nawet gąsiorka, co przed nim stoi, na twarzy ma uśmiech dziwny i jakąś jakby trwożę, by mu kto jego snu nie spłoszył. A w oczach ma całe kilkadziesiąt lat żołnierskiej tułaczki, przygód, młodości, uciech i niewygód, cierpień i radości. Mignęły mu się, jak jasna plama, Rozłogi i Dniepr szeroko rozlany, i Gałacz, i oblężenie Zbaraża i fortelica chreptiowska, wychyliła się z ciemności miła, serdeczna twarz pana Michała Wołodyjowskiego, to znów zasłoniła wszystko olbrzymia postać pana Podbipięty z siną okropnie centką w twarzy.

Rozrzewnił się stary, oczy ręką zasłonił, żeby ludzie nie dojrzeli, że w zdrowem oku pojawiła się nagle rzecz niesłychana, jak Zagłoba: iza.

Powoli gwar odżywa, ale jakiś inny. Nie tak hałaśliwy, jak przedtem. Co w sercu, to i w gębie, a że w sercu cicho i rzewnie, więc i gawęda nieśmiało, półgłosem zaledwie nad stołami zakwita. Gdzie się głos jaki choć trochę wyraźniej odezwie, tam milkną i te ciche rozmowy; ludzie uszu nadstawiają i wołają słuchać, niż mówić samemu. Ale głosu nikt jakoś nie podnosi. Buchnie gdzieniegdzie skarga żołnierska i przy-



gasa zaraz. Ktoś swą bolszewicką niewolę opowiada, jak go w czrezwyczajne śledziami żywili, pić nie dając, na mrozie różgami siekli, w przerebłach pławili. Inny, co z hetmanem Żółkiewskim na Moskwę chodził i w oblężonym przez Moskali Kremlu siedział, o głodzie straszliwym mówił, jaki im tam doskwierał, o tem, jak się część załogi polskiej w podpalonej wieży żywcem piekła, a pomocy żadnej dać im nie mogli, bo się od wybuchu wejście do wieży całkiem zawaliło.

Opowiadali sobie tak ludziska o żołnierskim chłodzie i głodzie, znoju i nędzy, o całej onej żołnierskiej niedoli, która pono siostrą rodzoną śmierci jest, żołnierzy okrutnie miłuje, na krok ich nie opuszcza, chyba, że siostrze odda.

Słuchał tego wszystkiego stary wiarus z legji naddunajskiej, co pod Napoleonem całą Europę wzdłuż i wszerek przemierzył. Munduru na nim i rozpoznać trudno, taki zszarzały i wyłatany, wąsiska, jak wielkie wiechcie, twarzy z pod nich nie widać, jeno oczy jakieś niesamowite, ogniste.

Gdy się na chwilę uciszyło, huknął pięścią w stół i rzecze:

— Hej, ludzie, ludzie, nie znacie wy jeszcze prawdziwej niedoli żołnierskiej. Chłód, powiadacie, głód, nędza, trudy, znoje. A gdzieżście wy, ludzie, widzieli żołnierza, coby we wszyst-

ko opływał? Jeszcze się taki nie urodził. Żołnierski chleb, wiadomo, gorzki i twardy, ale żołnierz twardszy, to go ugryzie, a jak nie ugryzie, to sam zmarnieje. Hej, miły Boże, wiemy my coś o tem. Chłód. Szliśmy kiedyś nad Renem, jakoś to było chyba przed Hohenlinden. Mróz na świecie, gruda, a my sobie, jak na spacer, w płóciennych spodniach i kurteczkach, połowa boso. Wiara pomstuje, nie chce iść. Kapitan Drzewiecki — jak dziś go widzę — jedyne buty, jakie miał, z nóg ściąga i największe-



DIONIZY CZACHOWSKI.



mu pyskaczowi oddaje. Prowadził tak później bataljon na bosaka po grudzie, krwią znacząc za każdym krokiem... A głód. W Mantui o szczyryśmy się bili, jak o jaki specjał. A bo to w jednej Mantui zresztą? A trudy, znoje, ktoby je tam spisał, ktoby je tam policzył. A to wszystko nic, furda, zwyczajna żołnierska rzecz. Jednego zwycięstwa wystarczy, żeby człek całych miesięcy nędzy zapomniał. Co człowieka żarło, to nie głód, choćby najgorszy, ale za krajem tęsknota, nie mróz, ale tułaczka bez końca, nie znoje i trudy, ale to, żeśmy na końcu tych trudów Polski nigdy dojrzeć nie mogli. Biłeś się, bracie, we Włoszech, biłeś na San Domingo, o tysiące mil od własnej zagrody, jeśliś jaką kiedy miał, biłeś murzynów, trzęsąc się od zgnilej febry, a wiedziałeś to poco i naco? Jako psy bezpieczeństwa byliśmy, jak te liście jesienne, co z drzewa oblecą i po ziemi sobie miejsca szukają i znaleźć nie mogą, i póty się z wiatrem tułają, aż zgniją i w proch się obrócą. Kto taką niedolę poznał i przetrzymał, jako my, legioniści, ten dopiero o niedoli żołnierskiej mówić może.

— Święte, święte słowa — powtórzył w głębokim zamyśleniu stojący niedaleko hallerczyk. — Jakbym własne dzieje, własną tułaczkę i własną tęsknotę zobaczył. Znam to wszystko, znam. Kaniów, Niemcy, bolszewicy, stepy, drogi bez początku i końca, śniegi, Murman, Francja, ta sama Francja, co i wy. Nietyle było może tej tułaczki i nie taka straszna, jak wasza, ale niczego w niej z niedoli żołnierza nie brakło.

— A może i brakło? — odezwał się jakiś głos z grupy ciemnych postaci, skulonych koło kominka.

Obejrzelisi się wszyscy w tę stronę, ale przez dłuższą chwilę nie jeszcze ciszy nie przerywało. Nagle odezwał się ten sam głos:

— Czołem, panowie! Czachowski jestem, Dionizy, pułkownik wojsk narodowych, komendant partji w województwie sandomierskiem. Bywam tu rzadko w waszem kole, towarzysze, jeszcze rzadziej głos zabieram, ale dziś zabrać go muszę. Nie wypełniliście, koledzy, całej miary niedoli żołnierza polskiego. Mówiliście o głodzie, chłodzie i znoju. Znam to i ja. To żołnierza hartuje. Mówiliście o tęsknocie za utraconym krajem, za utraconym rajem, za ojczyzną. Rozumiem. To żołnierzowi duszę oczyszcza. Ale nie mówiliście nic, bo nie znaliście może najcięższej niedoli, jaką żołnierz wycierpieć może, nie znaliście wydziedziczenia, niezrozumienia i zapomnienia we własnej ojczyźnie. Żołnierz, który wolnej ojczyzny broni, szczęśliwy jest, choćby go nędza żarła. Żołnierz, który ku ojczyźnie nawet niewolnej idzie, może być szczęśliwy, choćby go tęsknota żarła. Żołnierz, który we własnym kraju ojczyzny za sobą nie czuje, szczęśliwy być nie może. Bez dachu nad głową, bez chwili spokojnego snu, obcy, czasami nieledwie trędowaci wśród swoich, tropieni przez wroga, jak zbrodniarze, w leśnych kryjówkach, głodni, zmarznięci — biliśmy się w roku sześćdziesiątym trzecim całemi miesiącami już nie o to, by zwyciężyć, ale o to, by przetrwać, by się nie dać Moskalowi osaczyć. Towarzyszu z pod Hohenlinden! Wyście byli bogacze, wyście mieli Hohenlinden, cesarza, zwycięstwo za zwycięstwem; nawet śmierć przychodziła po was na pole sławy. A my, co? Nędza-



rze. Bezimienna dola i bezimienna kula, jeśli nie stryżek moskiewski, a w najlepszym razie spokojny nocleg, jako nagroda za wygraną potyczkę. Ale nawet i to wszystko byłoby znowu furda, gdyby nie to, że widzieliśmy, że jesteśmy sami, licha garść strażaków, że za nami naród nie płonie, że my w ojczyźnie nie mamy ojczyzny. To jest *najcięższa* niedola żołnierza.

— Albo my — odezwał się mały, drobny chłopaczyna w siwym mundurku i siwej, pokiereszowanej mocno maciejówce. Wynędzniała, blada, nawpół dziecinną twarz, przeorana była przez policzek szeroką, białą blizną. — Albo i my! — powtórzył. — Dożywał człek ostatniej pary z siebie, wszystko, co miał, rzucił, wszystko oddał poto, żeby mi potem rodzony brat w oczy rzucił: — Pruski pacholek! Nasi Niemca biją — powiada — a ten głupi jeszcze się Niemcom wystługuje. „Nasi” — powiada. Uwierzycie? Myślałem, że mi serce pęknie. Nie wiedziałem, czy jemu do gardła skoczyć, czy samemu iść gdzie na kraj świata śmierci szukać. Już chyba lepiej było w okopach nad Stochodem. Choć człek po kolana w błocie brodził, ale nam przynajmniej nikt pruskiej służby w gardło nie pchał. Polsko! Polsko! Miła nam, ale gorzka Twoja służba żołnierska.

Umilkł legun i czas jakiś głęboka cisza zalegała salę. Nikt się nie ruszał, nikt nic nie mówił, w powietrzu wisiła gorycz wypowiedzianych słów, ciężąc na sercach i nachylając w smutnej zadumie nie tylko siwe, ale i młode głowy.



LEGJONISTA.



I ulga niezmierna spłynęła na wszystkie serca, kiedy wśród ciszy rozległ się nagle spokojny, równy głos księdza przeora Kordeckiego, rozpoczynającego litanję żołnierską:

— Królowo Korony Polskiej. — Módl się za nami — gruchnęła wiara chórem.

— Poczieszcicielko męki polskiej. — Módl się za nami — huczało już, jak grzmot podziemny, aż echo odpowiadało ze wszystkich kątów.

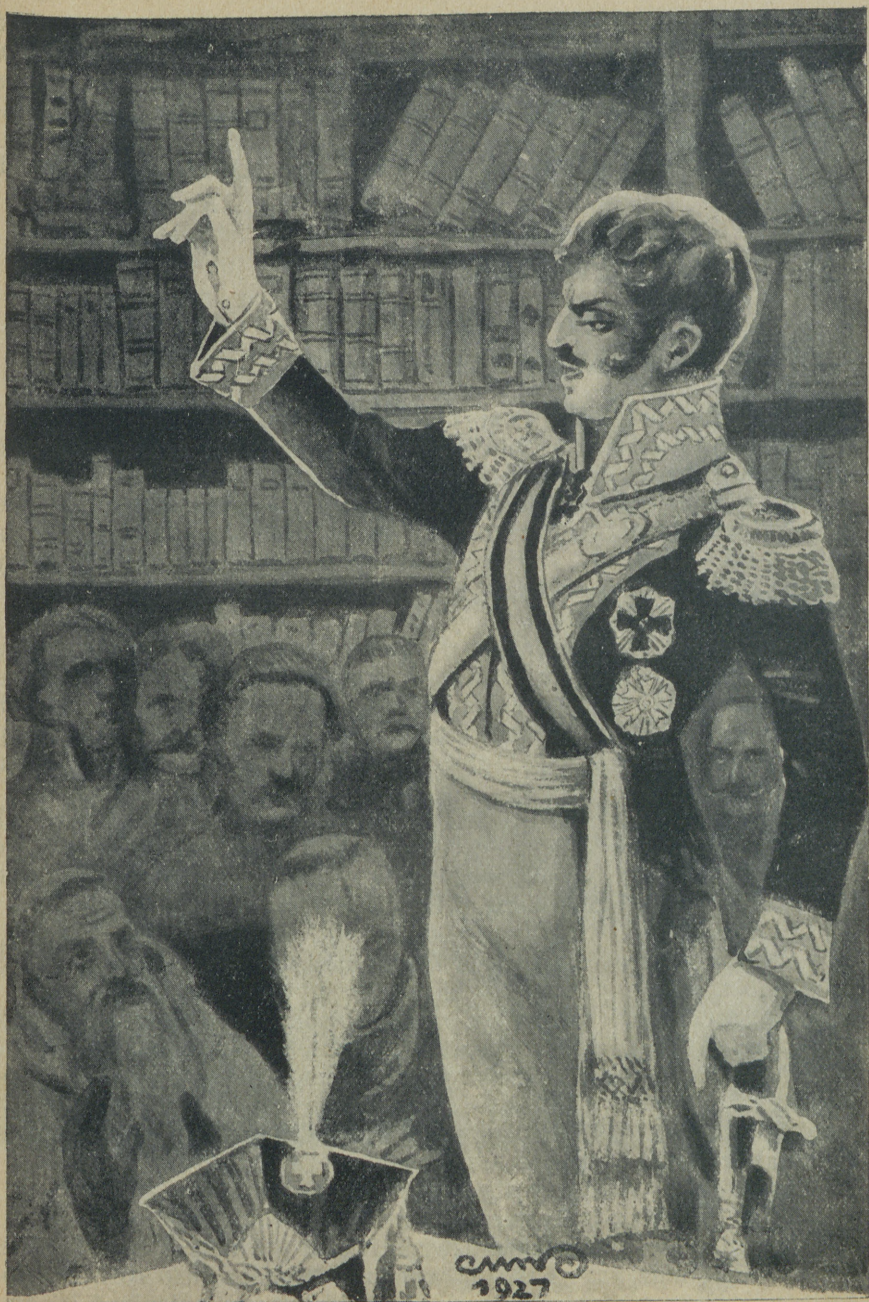
Jutrzenko nadziei polskiej. —	Matko rannych. —
Módl się za nami.	Módl się za nami.
Ostoję wiary polskiej. —	Matko zaginionych. —
Módl się za nami.	Módl się za nami.
Patronko sztandarów. —	Matko w niewolę pobranych. —
Módl się za nami.	Módl się za nami.
Patronko wodzów. —	Matko tułaczy. —
Módl się za nami.	Módl się za nami.
Patronko Baru. —	Królowo Grunwaldu. —
Módl się za nami.	Módl się za nami.
Patronko nocy listopadowej	Królowo Kircholmu. —
i styczniowej. —	Módl się za nami.
Módl się za nami.	Królowo Kłuszyna. —
Patronko pobożowisk. —	Módl się za nami.
Módl się za nami.	Królowo Wiednia. —
Patronko cmentarzy	Módl się za nami.
żołnierskich. —	Królowo Raławic. —
Módl się za nami.	Módl się za nami.
Patronko niedoli żołnierza. —	Królowo Rokitna. —
Módl się za nami.	Módl się za nami.
Matko zwycięzców. —	Królowo Krechowiec. —
Módl się za nami.	Módl się za nami.
Matko zwyciężonych. —	Królowo Radzimina. —
Módl się za nami.	Módl się za nami.
Matko poległych. —	Gwiazdo zmartwychwstania
Módl się za nami.	Polski. —
	Módl się za nami.

W miarę, jak mijaly zdania litanji, ginęła gdzieś gorycz i groza. Jeszcze po „Matko tułaczy” zerwał się gdzieś cichy, stłumiony szloch i przerwał na chwilę odmawianie litanji, ale z każdym jej dalszem słowem prostowało się coraz więcej głów, rozjaśniały się twarze, a w oczach pojawiało się coraz więcej łez radosnego jakiegoś rozrzewnienia i uniesienia.

I jeszcze echo ostatniego „Módl się za nami” nie przebrzmiało w powietrzu, a już skoczył na ławę książę Józef. Dziwnie młodzieńczy był, rycerski i piękny, twarz mu pałała, z oczu sypały się skry.

— Chłopcy moi drodzy, przyjaciele serdeczni, towarzysze wierni! I wy bosci, i wy tułacze, i wy wydziedziczeni! Nie zmarnowała się wasza ofiara, wasza męka, wasza tęsknota. Nie zmarnowała się żadna kropla





...skoczył na ławę książę Józef.



potu ciężkiego, żołnierskiego znoju, nie poszła na marne żadna kropla waszej krwi. Nie przepadło nic. Dzięki waszemu posiewowi potu i krwi żołnierz polski dziś znowu pod bronią, znowu walczy i znowu zwycięża. Zmartwychwstała dzięki wam Ojczyzna nasza. Polska wolna jest i niepodległa!

Na kominku dogasały ostatnie blaski tlejących w popiele głowni.

*K. Konarski.*

10)

## Wesoła gromada.

Opowiadanie z życia szkolnego.

*Napisała Janina Porazińska.*

Nareszcie przyszli. Pani aptekarzowa już wszystko przygotowała dla swych gości: do stołowego pokoju pozносиła krzesła z całego mieszkania, żeby każde z dzieci mogło siedzieć.

Na szczęście dzieci nie zawstydziły swojej pani. Każde ukloniło się gospodyni domu, dziewczynki oddały jej kwiaty — i ten z rozbitą doniczką też — i prosiły, aby je przyjęła od całej klasy. Potem wszyscy usiedli na krzesłach i siedzieli tak cichutko, że ich wcale nie było słychać.

Oczy miały dzieci wlepione w aparat. Była to niewielka skrzynka, a obok niej koło, stojące na nóżce. W skrzynce błyszcząły cztery lampki elektryczne, były też tam jakieś pozwijane druciki, były kółka i śrubki. Od skrzynki szły druty: dwa z nich łączyły się z baterią elektryczną, a dwa przez dziurkę w ramie okiennej wychodziły na zewnątrz domu. Ot i wszystko.

I ta skrzyneczka z drucikami ma chwytać głosy z całego świata? Ma powtarzać tu im, dzieciom z Cichej Wólki, słowa, które w tejże samej prawie chwili wymówione są w Warszawie, czy wyspiewane w Krakowie — i jeszcze dalsze: z Paryża, Londynu, Rzymu?!

Eh, żarty!

Pani aptekarzowa spojrzała na zegarek.

— No, już.

Dzieci siedziały bez ruchu, jak przyrośnięte do krzesel. Wszystkie twarze to rozpały się ciekawością, to zaszępały zwątpieniem.

Pani aptekarzowa zaczęła coś przy aparacie majstrować: tu włożyła drucik, tam pokręciła kółkiem. Zapaliły się lampki. Z tarczy, stojącej na nóżce, zaczęły się odzywać jakieś dźwięki: to lekkie trzaskanie, to jakby gwizd wiatru, to niby cykanie zegaru.

Dzieciaki powyciągały szyje. Coś się zaczyna!..

— Łączymy się z Rzymem. Koncert popołudniowy.

Jeszcze jakieś pomieszane dźwięki i coraz wyraźniej, coraz czyściej wydobywa się muzyka. Tak, już wyraźnie słychać: dużo różnych głosów, a wszystkie są głosem jednym, wszystkie są jedną słodką falą, płynącą z tajemnych głębin dalekiego, szarego horyzontu.

Pierwszy wstał Marek, a za nim i inne dzieci. Czemu wstali?



Nie wiedzieli. Czuli, że dzieje się koło nich coś tak wielkiego, jak cud boski.

— Teraz połączymy się z Pragą Czeską.

Znów wpadają jakieś zmieszane dźwięki, chwywane kędyś z przestworza i nagle na cały pokój zabrzmiał wesoło silny chór męski:

— Hnało divca kravy	Pod javor si sedlo,
z Uher do Moravy;	snidanicko jedlo;
divca pobludilo,	na javor pohledlo,
kravy potratilo.	orla uvidelo.

— Teraz chwycimy Londyn.

Tam ktoś mówił. Pokój zapełnił się głośną, obcą mową.

— To nieciekawe dla nas, bo nic nie rozumiemy. Postuchajmy, co teraz nadaje Kraków.

A w Krakowie odbywało się wesele. Skrzypki śpiewały cieniutko i słodziutko, bas mruczał, bęben huczał, flet popiskiwał, a drużba ogłaszał:

— Płynie woda od ogroda,	Czarne buty do roboty,
prosto od Zwierzyńca.	czerwone do tańca.

*Dalszy ciąg nastąpi.*



Mal. Wł. Nałęcz.

### ZWYCIĘSKI ATAK FLOTY POLSKIEJ NA SZWEDZKĄ DNIA 28 LISTOPADA 1627 r. POD OLIWĄ.

W roku bieżącym obchodzimy rocznicę trzechsetletnią zwycięskiej bitwy floty polskiej ze szwedzką w d. 28 listopada 1627 r. pod Oliwą. Zwycięstwo to pokrzepiło bardzo na duchu naszych marynarzy, bo wiara w niezwyciężoność floty szwedzkiej na Bałtyku została wówczas rozwiana.



2)

## „Powstanie listopadowe”.

Opracowała Julja Duszyńska.

WNUCZKA.

Dziadziu! Słyszę kroki. Ludzie tu idą.

STARZEC.

Skryj mnie za drzewami.  
(*Kryją się. Wchodzi kilkunastu spiskowców w czarnych płaszczach.*)

PIERWSZY.

Niepodobna czekać dłużej!

DRUGI.

Siódma bije, a hasło mieli dać o szóstej.

TRZECI.

Tymczasem łuny ani śladu. Może odłożone?

CZWARTY.

Nie! Nasi podchorążowie poszli przed paru godzinami na Solec podpalić ten browar.

DRUGI.

Świecą się okna w Belwederze! Haha! Nie przeczuwa Wielki książę, co go czeka.

PIĄTY.

Że lada chwila przestanie być namiestnikiem Polski!

SZÓSTY.

Przebrała się miarka! Dość tej obroży, co dusi!

GŁOSY.

Dość! dość! Nie czekać dłużej!

SIÓDMY (*wpada*):

Koledzy! Wiecie? Podchorążówka już poszła.

PIERWSZY.

Bez hasła?

SIÓDMY.

Bez! Wysocki poprowadził ich na koszary gwardji.

PIERWSZY.

Wielu?

SIÓDMY.

Będzie ze dwustu.

TRZECI.

Mało. Tam są trzy pułki Moskali...

SIÓDMY.

Szli jak burza! Zmiotą! A wielu nas?

PIERWSZY.

Osiemnastu.

CZWARTY.

Mało. Ale jutro będzie nas więcej. Jutro cały naród stanie za nami. A Wielki książę będzie w naszym ręku.

GŁOSY.

Chodźmy! Naprzód!

PIERWSZY.

Psst! (*Wydaje cicho rozkazy. Spiskowcy dzielą się na grupy.*) Sztyldwachów przyduś i kolbami w okna! Przez wszystkie drzwi i okna, aby gwałtownie i z wielką wrzawą, żeby tamci potracili głowy! No, bracia! Za wolność — naprzód!!

(*Wybiegają.*)

GŁOS SZYLDWACHA

(*za sceną.*)

Stój! kto idiot?

(*Wystrzał. Zmieszane okrzyki, brzęk tłuczonych szyb, łoskot, strzały.*)

STARZEC

(*wysuwa się z za drzew. Księżyc rozświetla scenę.*)

Strzelają!... Och, na ten wystrzał pod Belwederem oknie się naród cały i stanie w obronie swych praw! Poszli... poszli chłopaki kochane... zuchy jedyne. O Boże Miłosierny! dzięki Ci, dzięki, że dasz mi wolnym umierać!

(*Kurtyna powoli opada przy dźwiękach „Warszawianki”: „Oto dziś dzień krwi i chwały” lub „Bogarodzico Dziewico, usłysz nas, Matko Boża, usłysz nas! To ojców naszych śpiew i t. d.” — słowa Słowackiego.*)

Dokończenie nastąpi.





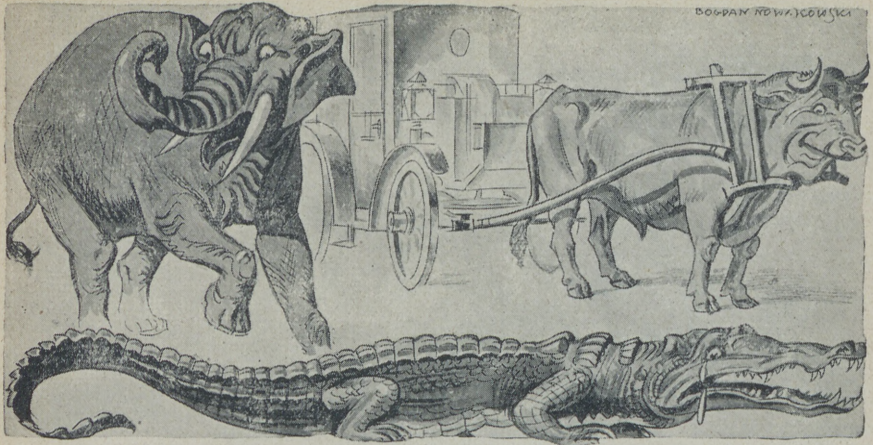
OLBRZYMIA RYBA, ZŁAPANA PRZY WYBRZEŻACH FLORYDY.

## Czego dobrze wychowane zwierzęta, ptaki, a nawet owady bardzo nie lubią.

W krokodylu smutek budzi  
niesłuszna opinia ludzi,  
że, jak płacze kto nieszczerze,

zaraz mówi mu niemiłe  
— wylewasz łzy krokodyle.  
Skąd się takie głupstwo bierze?





Kiedy zaklniesz o „*psiej kości*”,  
wtedy słoń się strasznie złości  
i odzywa się w te słowa:  
— Przecież zawsze najważniejsza  
*kość słońiowa!*

Jeśli ktoś się nie nadaje  
do jakiejś rzeczy, niestety,  
mówią: *Jak wół do karety*.  
Zwykle wół za to nie łaje,  
bo go to nie nazbyt boli,  
jednak — delikatność woli.

Osiół głową smutnie kiwa  
i uśmiecha się z goryczą:  
jakże się ludzie nie liczą  
z jego osłą reputacją!  
Powiadają, że *uparty*;  
bardzo to są nędzne żarty.  
Z rozpaczy się strasznie upił,  
gdyż—między nami — jest głupi.

Pies wiecznie kocha człowieka,  
ale strasznie go dotyka  
takie zdanie z ust chłopczyka:  
— Czego na mnie *Józio szczeka?*  
Bo pies szczeka na człowieka,  
lecz nie znosi, gdy kto powie,  
że na kogoś szczeka człowiek.

Kot raz spróbował być wdzięczny,  
więc rozmyślał cały dzionek:

— Ach, jaki dobry jest Bronek!  
Pieści mnie i karmi mlekiem.  
Ja przepadam za człowiekiem! —  
Wtem rzekła do Bronka ciocia:  
— Oto mi *niewdzięczność kocia!*  
Kot się zaraz na piec schował  
i już więcej nie próbował.

Wczoraj mi się poskarżyła  
jedna kaczka, bardzo miła,  
że raz powiedziała praczka:  
— Barbara *chodź, jak kaczka*.  
Doskonale chodzę sobie,  
cóż śmiesznego w mym sposobie?

A kury twierdzą, że, gdyby  
uczono je kaligrafji,  
to napewno pisałyby  
ślicznie, jak nikt nie potrafi.  
Że zaś wiecznie ziarno dziobią,  
w piasku popod murem,  
cóż więc dziwnego, że skrobia,  
*jak kura pazurem?*

Lecz w największym żyje smutku  
i wciąż płacze aż do skutku  
biedna ropucha!  
Bo zawsze, ilekroć widzi  
postać, z której każdy sztydzi,  
zaraz wpada jej do ucha:  
— Patrz, jaka *wstrętna ropucha!*





Mole zaś serdecznie boli  
bardzo zła opinja moli,  
bo wcale nie mają chęci  
gryźć każdego bez pamięci.

Osa krzyczy pod niebiosa,  
że się mówi: zła, jak osa!  
Choć, co prawda, niema racji  
i niepotrzebnie się dąsa,  
bo poco kasa?

Zato pracowita pszczołka  
i lotna jaskółka  
radują się, że z nich przykład  
bierze cała szkółka.

Tem skrzętniej miód pszczołka  
zbiera,

tem weselej ptaszek leci,  
im czystsze i radośniejsze  
patrzają na nie oczy dzieci!

ZOFJA ŻURAKOWSKA.

## Listy dwóch przyjaciół.

### MÓJ KOCHANY JĘDRKU!

Cóż Ty mi nic nie odpisujesz? Nie dochodzą moje listy, czy jak? Brat też, choć Sokołówek skończył i pisać doskonale potrafi, ani słówkiem nie piśnie, albo i bratowa — Gołotczyźnianka przecież, też piśmienna! Ale zapomnieliście już widać tam wszyscy na wsi o mnie, a mnie się w tej Warszawie tak przykrzy, że ojej! Tam u nas teraz kłapanie, wszyscy przy robocie, tylko ja muszę na tej Pivnej siedzieć. A dużo też tam u mego brata ziemniaków? A u Twego Taty ile?

Ja tu, Ci mówię, pełno kłopotów mam. Czasem to ni tak, ni siak — niewiadomo, co zrobić. Bo, naprzykład, w środę, w zeszłym tygodniu, miała być klasówka z arytmetyki. A pamiętasz, że ja z arytmetyki zawsze niebardzo. Pan powiedział tak: — Żeby mi nikogo nie brakowało! — No, dobrze, kupiłem nowy zeszyt, przypomniałem sobie wszystko o tych procentach (bo to na procenty miała być klasówka) i myślę przy pacierzu wieczorem:

— Matko Boska! Żeby mi aby to zadanie wyszło! — Ledwem



pacierz skończył, a tu Wujenka powiada: — Jutro, Władziu, to musisz nie iść do szkoły, tylko w sklepie i przy Halince zostaniesz, bo Wujko pojedzie odbierać węgiel na zimę, a ja muszę na Pragę, bo szwagier telefonował, że siostra chora.

— O Boże! — myślę — nie będzie ze mną dobrze pewno z tej arytmetyki...

Przyszło rano — pojechali. Zostałem z Halinką. Ludzie przylatują, a przylatują kupować, aż się zgrzałem w tym sklepie, a ta Ci mała nic, tylko się maże (ona ma 3 lata). Nic, tylko na ręce! Ja tu ważę, reszty wydaję, a ta — na ręce! Koło 12-ej, patrzę, a ta chora, ma wymioty, czerwona, jak sukno, trzęsie się i beczy, i beczy... Myślę: Rany Boskie, a może ta Halinka ma tę nową chorobę i zaraz jej tu nóżki sparaliżuje?... Skoczyłem do Krajewskich, na I-e piętro, ona ma dzieci, to co wymyśli, a ta, jak usłyszała, tak nie chce ze mną gadać, drzwi zamyka, o swoje dzieci się boi. — O dla Boga! co tu robić? Wujostwa niema! Po doktora lecieć? Jakże sklep zamknąć? Strata: co chwila ktoś przychodzi. A może to zaraźliwe, a tu przychodzą różne baby i jeszcze niektóre z dziećmi? A tu wciąż o tej klasówce myślę. Dałem jej herbaty. Ale gdzie? Nie chce, wylała na siebie... O 2-ej przychodzi Kazik, co ze mną siedzi, i powiada: — Te, Władek, a Pan to powiedział, że szkoda, żeś nie przyszedł i głową kiwał. A zadanie było łatwe — wszyscyśmy zrobili.

— Wiesz, Jędrus, komu innemu, tobym nie powiedział, ale Tobie napiszę: rozbeczałem się, ale tylko tak trochę, no, i jak Kazik wyszedł. Ale, żeby choć ta Halinka była zdrowa, tobym nie beczał, nie! Ale jej ciągle gorzej. Więc się namyśliłem. Zamknąłem sklep, jak ona trochę usnęła i poleciałem po felczera na Świętojańską — to bardzo blisko. Przyszedł i powiedział, że to napewno z żołądka. Ja się tu felczera pytam, ile mu się należy, a tu Wujenka wchodzi... No! Ale użyłem — co?

Jedno tylko dobre: byłem ze szkołą w kinie. Pokazywali, jakie co jest w Afryce. Och, mówię Ci, jakie ciekawe! Tak żałowałem, że Ciebie nie było.

Wiesz — widziałem Prezydenta, jechał przez Nowy Świat. Ile On musi mieć kłopotów i co w porównaniu z tem moje zmartwienia?!

Jeśli mi nie odpiszesz, to ja już do Ciebie więcej nie napiszę — jak chcesz!

WŁADEK.

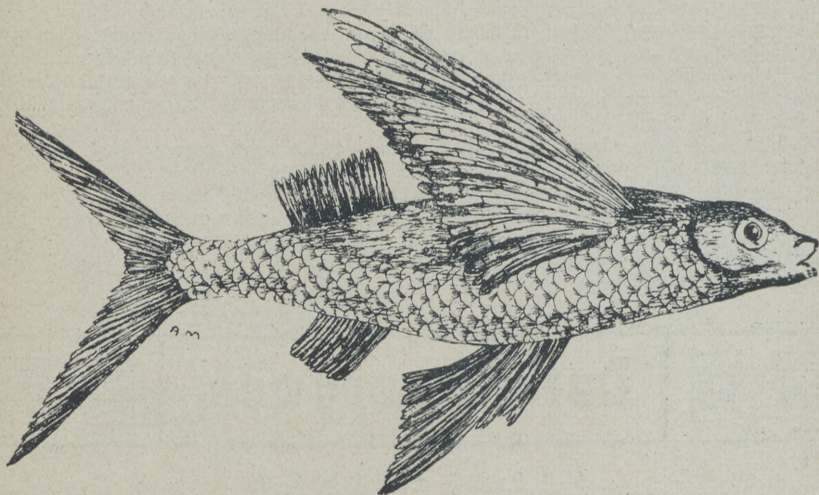
## Ryby latające.

Nietylko ptaki i owady obdarzone są zdolnością latania, ale i w innych rodzinach zwierząt, zupełnie różny budową, widzimy, choć w małej liczbie gatunków, zdolność latania, mniej lub więcej rozwiniętą. Z pośród zwierząt ssących np. nietoperze jakże są zwinne, bystre, niezmordowane w swym locie, jak trudne i fantastyczne w powietrzu zakreślają zygzaki. I między rybami, które tak są niedołączne po wyjęciu z wody, jest jednak kilka gatunków, należących do rzędu „ciernio-płetwych”, które zapomocą płetw, bardzo obszernych, mogą nietylko



wyskakiwać z wody, ale jakiś czas utrzymać się w powietrzu i przebywać stosunkowo dość znaczne przestrzenie.

Są one znane pod nazwą „ryb latających”, z których wyróżnia się „kurek” i „wachlotka”.



WACHLOTKA.

Wachlotkę nazywają także „przepiórką morską”. Jest ona w możności wznieść się w powietrze do wysokości 6—7 m., a przelatuje około 50 m., nim do morza wpadnie. Te rybki morskie nie są wielkie, rzadko kiedy do 26 cm. długości dochodzą.

Co moment wyskakują z głębi wody, przelatują niewielką przestrzeń, zakreślając łuk, i znów w wodę się zanurzają. Wynurzając się z wody, chronią się od licznych nieprzyjaciół - ryb.

*Józef Siarkiewicz.*



## ZBLISKA I ZDALEKA

**ZATONIĘCIE WIELKIEGO PAROWCA PASAŻERSKIEGO NA MORZU KARAIBSKIM.** Wielki parowiec pasażerski „Mafalda”, przebywający swą zwykłą drogę z Genui do Rio-de-Janeiro, w dniu 25 października, wyruszywszy z wyspy Bahia, uderzył o skałę podwodną i zaczął szybko tonąć. Znajdujące się w pobliżu statki pośpieszyły rozbitkom na pomoc, ratując prawie wszystkich.

**SCHWYTANIE OLBRZYMIEGO ŻÓŁWIA.** Rybak polski, Henryk Brodzicz, u brzegów Stanów Zjednoczonych schwycił olbrzymiego żółwia, ważącego 1400 kilogramów, długości 8 metrów, szerokości 4 metry.



## Kalendarz przyrodnika.

*Listopad i grudzień.*

Miesiące te — to okres snu zimowego. *Drzewa liściaste* stoją czarne, огоłocone z liści (zauważ, jakie gatunki drzew zachowują zeschnięte liście przez całą zimę), tylko lasy *iglaste* cieszą nasz wzrok swoją skromną zielenią. Ziemia, огоłocona z zielonej swej szaty, przykryta śnieżnym całunem (zaobserwuj, jakie rośliny zielne zachowują się pod przykryciem ze śniegu); gdzieś tam widać ciemną zielenią roślin o liściach *zimotrwałych* (zanotuj gatunki). W lasach widzimy tylko te *ssaki*, które nie zapadają w sen zimowy, a z *ptaków* te, które znajdują u nas pożywienie i w zimie.

Rzeki i jeziora skuwa pokrywa lodowa i tylko wiatr mroźny buja po śnieżnej przestrzeni pól i cicho kołysze drzewami w parku i w lesie.

W długie wieczory zimowe pozostaje nam notować przy ciepłym kominku spostrzeżenia meteorologiczne i doprowadzić do porządku nasz kalendarz przyrodniczy z notatkami z całego roku. W roku następnym (1928) potrafiemy go jeszcze lepiej prowadzić, notować ściślej, dokładniej, z jeszcze większą sumiennością i zainteresowaniem.

Z. Bohuszewiczówna.



### Dział rozrywek.



#### M I E S Z A N I N K A.

Przejrzyj uważnie całe zadanie co robi, jak ma na imię dziewczynka?  
i daj odpowiedź na to pytanie: Oto i cała już mieszaninka.

#### Ł A M I G Ł Ó W K A K R A J O Z N A W C Z A.

Odnajdź te wyrazy poniżej wskazane, 1. Znajdź miasto polskie, koło którego siedzisz. 2. Z pomiędzy a daleko ich nie szukaj, bo są napisane: krzaków wyrzuc literę, a będziesz miał miasto w Polsce.

#### S Z A R A D A.

Pierwsza — druga — jest Druga — czwarta — dokucza  
następstwem winy. nam srodzę.  
Druga — trzecia — to nazwa A — całość spotkasz na  
mieściny. pustynnej drodze.

#### ROZWIĄZANIA z Nr. 7.

Krzyżówki obrazkowej. Wyrazy poziome: KOT, RUM, OSA, SER, JAR, LAK, LEW, ONA, NOC, SOS; wyrazy pionowe: KOS, LEN, EWA, TOR, KOC, RAJ, LAS, ALE, MUR, WĄS.

Logogryfu geograficznego: LWÓW, KRAKÓW, TORUŃ, BYDGOSZCZ, POZNAŃ, KATOWICE, WILNO, STANISŁAWÓW—WARSZAWA.

Zagadki 1-ej: RADJOTELEGRAF. Zagadki 2-ej: DIAMENT.  
Rebusu: GRA NIE WARTA ŚWIECZKI.

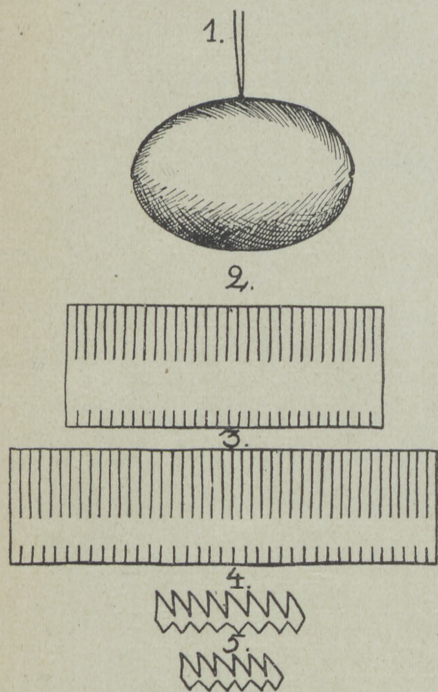


DO JASI KRZYMUSKIEJ W KALISZU. Słowiańskich cmentarzysk wiele jest po całej Polsce rozrzuconych. Od czasu do czasu odnajduje się przypadkowo coraz to inne i dzięki nim bogacą się nasze muzea, ułatwiając poznanie dziejów dawnych naszych ziem.

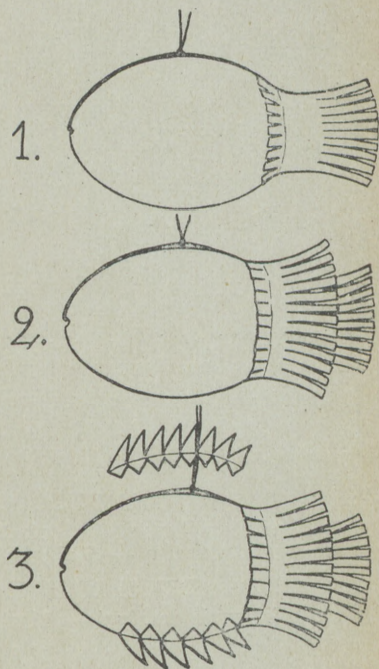
## R Y B K A.

### Ozdoba na choinkę.

Już w tym numerze dajemy Wam wzór jednej ozdoby na choinkę, byście mieli czas przygotować ozdób wiele i ładnych. Oto, jak możecie zrobić „rybkę”.



Ryc. 1.



Ryc. 2.

Do zrobienia jej będzie nam potrzebna wydmuszka, t. j. pusta skorupka od jajka, którego zawartość, po zrobieniu dziurki na obydwu końcach jajka, została wydmuchana. Wydmuszki takie muszą obeschnąć zupełnie, zanim będzie je można użyć do naszego celu. Gdy są już zupełnie suche, przeciągamy przez obiedwie dziurki w jajku nawyłot cieniutki, ale sztywny drut, do końca którego przymocowujemy nitkę. Po przeciągnięciu nitki przez wydmuszkę, zawiązujemy ją u góry na skorupce jajka (Ryc. 1, liczba 1), w pewnej od niej odległości związujemy nitkę po raz wtóry i zbyteczną część nitki odcinamy. Nitki używamy tej samej barwy, jakiej ma być rybka. Jeśli rybka ma być czarna, tak, jak to ma miejsce w tym wypadku, to, trzymając za nitkę, pokrywamy wydmuszkę czarnym spirytusowym lakierem, a w braku tegoż, można ją pomalować czarnym tuszem.

Po pomalowaniu wydmuszki wieszamy ją na umocowanej do niej nitce i czekamy, aż zupełnie wyschnie. Przez ten czas możemy przygotować potrzebne paski, wykonane ze sklejonych ze sobą 2 arkuszków złotego papieru.

Po przeschnięciu sklejonych z sobą arkuszków złotego papieru, odcinamy 2 paski, tak samo od dołu i góry ponacinane, jak to widać na ryc. 1, pod liczbami 2 i 3. Paski, o których mowa, sklejamy w ten sposób, by każdy z nich utworzył pierścien. Potem brzegi tych pierścieni o większych nacięciach wyginamy

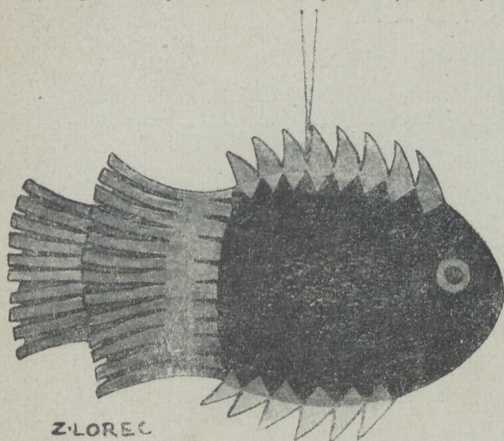


zlekką nazewnątrz, a brzegi o mniejszych nacięciach, prawie że prostopadle, uprzednio posmarowawszy mniejsze jego nacięcia klejem, przylepiamy do wydumuszki tak, jak to widzimy na ryc. 2, pod liczbą 1.

Szerszy z tych pierścieni, nałożywszy go na mniejszy, przyklejamy poniżej mniejszego do wydumuszki tak, jak to podane jest na ryc. 2, pod liczbą 2.

Teraz wycinamy z tego samego arkusika złotego papieru, sklejonego podwójnie, płetwy tak, jak widzimy na ryc. 1, liczba 4 i 5.

Płetwy te składają się z 2 sklejonych z sobą, prawej i lewej części, których dolne ząbki zostawiamy nie sklejone. Dolne ząbki płetw odwijamy nazewnątrz w 2 kierunkach. Płetwę podogonową przyklejamy u dołu wydumuszki dolnemi (mniejszymi) ząbkami. Przez płetwę grzbietową przewlekamy nitkę pomiędzy 5 a 6 ząbkami, tak, jak to widać na ryc. 2, liczba 3, poczem, posmarowawszy klejem dolne ząbki tej płetwy, przyklejamy ją do wydumuszki. Teraz wycinamy ze zło-



Ryc. 3.

tego papieru 2 krążki z nalepionymi na nie mniejszemi, czarnemi krążkami i przylepiamy tak wykonane oczy na wydumuszcę. Trzeba przytem uważać, by wypadły z obydwu boków na tem samym miejscu.

Zygmunt Lorec.

## OFIARY.

NA BUDOWĘ SZKOŁY W GDYNI.

Władysław Lipski — 1 zł. 50 gr.; Danusia Pelcówna — 2 zł.; Piśkiewiczówna z Kopyczyniec — 5 zł.; Niefidowicz z Warszawy — 70 gr.

DLA DZIECI INWALIDÓW I SIEROT PO POLEGŁYCH.

Bezimiennie ze Słupi — 11 zł. 50 gr.; Niefidowicz z Warszawy — 0.70 gr.

DLA POWODZIAN.

Niefidowicz z Warszawy — 0.70 gr.; Staś Górski ze Świerszyna — 5 zł.

### WARUNKI PRENUMERATY:

„Piomyk”	.....	miesięcznie 1 zł. 50 gr. —	za cały rok szkolny 14 zł
„Piomyczek”	.....	1 zł. —	— „ „ „ „ 9 zł.
„Piomyk” z „Piomyczkiem”	.....	miesięcznie 2 zł. —	— „ „ „ „ 18 zł.

Ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Piomyka” — 40 gr., „Piomyczka” — 25 gr.,  
„Piomyka” z „Piomyczkiem” — 50 gr.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu 322-18. Konto czekowe P. K. O № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1. do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja otwarta codziennie od godz. 9 rano do 7 wiecz. Prenumerate przyjmuje oprócz administracji „Nasza Księgarnia” — ul. Widok 22 i Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — ul. Marszałkowska № 123.

Wydawca: w imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — HELENA RADWANOWA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.